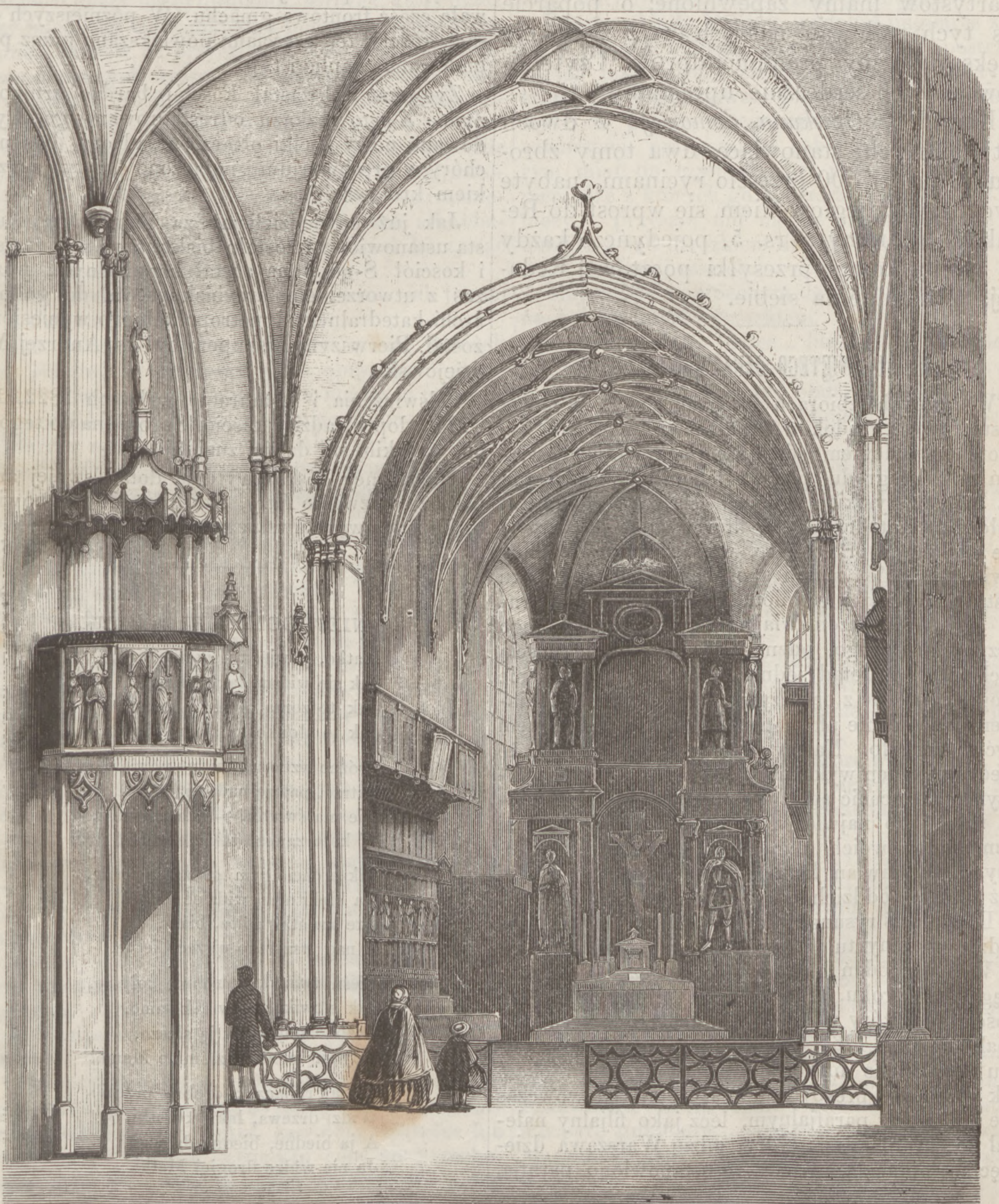
OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia (13) 25 Września 1867 roku.

Nr 39. | Cena w Warszawie **20** kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych **75** kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.



(Presbyterjum w Katedrze Ś. Jana w Warszawie).

Od Redakcji.

Opiekun domowy wychodzić będzie i nadal w kwartale IV-m r. b. w tym samym kierunku i pod temi samemi jak dotąd warunkami.

Cena prenumeraty pozostaje taż sama: W Warszawie miesięcznie kop. sr. 20, na Urzędach i Stacjach pocztowych, w Królestwie i w Cesarstwie kwartalnie kop. sr. 75.

Niewahamy się zapewnić Szanownych Czytelników o usiłowaniach i dążności naszej, do coraz większego podniesienia wartości tego pisma, tak pod względem wewnętrznym jako też i jego strony zewnętrznej, przez staranny dobór artykułów oraz rycin— w obu tych kierunkach współdziałanie autorów i artystów mamy zapewnione; o poparcie zaś tych usiłowań naszych przez zjednanie większej liczby prenumeratorów, Czytelników naszych serdecznie upraszamy.

Komplety *Opiekuna domowego* z dwóch lat ubiegłych, stanowiące dwa tomy zbroszurowane z 500 przeszło rycinami, nabyte być mogą za zgłoszeniem się wprost do Redakcji, oba tomy za rs. 5, pojedyńczo każdy za rs. 3; koszta przesyłki pocztowej Redakcja przyjmuje na siebie.

KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO JANA W WARSZAWIE.

W licznych zbiorach fotograficznych, a nawet rysunkowych widoków Warszawy, niełatwo się spotkać z widokiem jednej z najpiękniejszych świątyń naszego grodu, pod względem hierarchicznym na czele wszystkich stojącej. Przyczyną tego jest położenie Katedry naszej, której widok jest zupełnie zasłonięty przez stare, wysokie budowle ulicy Swięto-Jańskiej, a tym sposobem zdjęcie rysunku jest nadzwyczaj utrudnionem. Oddawna odzywały się głosy przemawiające za odsłonięciem tego przybytku Bożego, odznaczającego się pięknością architektury; dotąd jednakże przyjść do tego nie mogło, głównie z przyczyny wielkich kosztów, z jakiemi otworzenie placu przed Katedrą połączonem byćby musiało. Należy się jednak spodziewać, że kiedyś plan ten wykonanym zostanie, a wtedy nauczymy się ocenić należycie piękność świątyni, która należy do największych ozdób naszego miasta, i mieści w swoich murach tyle drogą dla pobożnych warszawian kaplicę Pana Jezusa, o której już dawniej oddzielnie w tem piśmie mówiliśmy.

Dając dziś rysunek przedstawiający wnętrze Katedry, podamy tu w krótkości jej historją.

Według podań historycznych, początek Katedry sięga 1250 roku. Był to zrazu drewniany tylko kościołek, który w jedenaście lat po wystawieniu spalił się w r. 1261. W tym czasie na jego miejscu wzniesiono murowaną świątynię, nie większą jak dzisiejsze presbyterjum. Kościół ten wówczas nie był nawet parafjalnym, lecz jako filjalny należał do parafji miasta Góry, gdzie Warszawa dziesięcinę opłacała. Kiedy tu ustanowiono parafją, nie jest wiadomo, to pewna tylko że w 1339 r. był już parafjalnym, gdyż w tym roku delegaci papiezcy sądzili w nim sprawę krzyżaków.

W roku 1370 Janusz książę mazowiecki, powiększył kościół do takiej obszerności w jakiej się dziś znajduje, i dla tego uważanym jest za pierwszego założyciela. Za jego też staraniem kościół parafjalny przemieniony został na kollegjatę, na zasadzie bulli Bonifacego IX Papieża, dozwalającej na przeniesienie kanoników z Czerska do Warszawy.

Za owych czasów i później aż do Stanisława Augusta, Warszawa należała ciągle do djecezji poznańskiej. Wojciech herbu Jastrzębiec, Biskup poznański a później Arcybiskup gnieźnieński, nadał kościołowi Św. Jana wielkie przywileje i urządził jego służbę i fundusze, którą to erekcją Papież Eugienjusz IV w r. 1444 potwierdził.

Anna, siostra książąt mazowieckich Janusza i Stanisława, kazała wznieść swoim kosztem wysoką wieżę, która później obaliła się, i znacznie zrujnowała część frontową gmachu. W późniejszych czasach kościół ten częściami powiększano przez przybudowania kaplic i t. p.

Zygmunt III zastał kościół bardzo zrujnowanym. Z jego rozkazu odrestaurowano go, wybudowano nowy wielki ołtarz, urządzono dwa nowe chóry w presbyterjum i połączono świątynię z zamkiem królewskim.

Jak już powiedzieliśmy, za Stanisława Augusta ustanowionem zostało biskupstwo warszawskie, i kościół Ś-go Jana został katedralnym; później zaś z utworzeniem arcybiskupstwa, do godności archi-katedralnego i metropolitalnego wyniesionym został. Pierwszym Biskupem był ks. Andrzej Młodziejowski.

Odświeżenia i restauracje w latach 1822, 1837 i 1843, doprowadziły kościół Ś-go Jana do tego stanu, w jakim się dzisiaj znajduje.

Mieszkańcy Warszawy dają dotąd swojej archikatedze nazwisko *Fary*, które aż do ustanowienia biskupstwa warszawskiego nosiła.

Wł. S.

NIEWIDOMY CHŁOPCZYK.

Matko, powiedz nam kochana,
Jak się wiosną łąka kwieci?
Jak to zorza płonie z rana?
Jak to słonko ludziom świeci?

Próżno wznosząc wciąż powieki,
Patrzę, patrzę nadaremnie,
Nie ma światła, — ach na wieki,
W koło zawsze takie ciemnie!

Jakże chciałbym gwiazdki małe,
Na błękitnem widzieć niebie!
I te kwiatki żółte, białe,
A nad wszystko ujrzeć Ciebie.

Pieśń twa, do snu mnie kołysze,
Jak słowika śpiew tak samo,
A zbudzony znów ją słyszę,
Gdy się modlisz za mnie Mamo!

Wszak robaczek drobny przecie,
Widzi drzewa, łąki, kwiatki,
A ja biedne, biedne dziecię,
Ja nie widzę drogiej Matki.

Dobry Boże! co łask tyle
Siejesz szczodrą dłonią swoją,
Daj mi w życiu choć na chwilę,
Daj oglądać Matkę moją?

Władysław Bełza.

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

(*Ciąg dalszy*, Patrz Nr. 38).

Karczmarz dobrze wszystko przewidział, Antek zaś niezbyt wiele liczył na szybkość nóg swoich i znajomość najkrótszéj drogi.

W parę minut po wyjściu z karczmy, był już w lesie za Szeroką kotliną i oczekiwał w upatrzonym punkcie na przejazd bryczki mającej wieść Mrożka.

Po kwadransie może oczekiwania, na najbliższym zakręcie wężykiem idącej drogi, ukazał się siwek Marcina.

Żywej duszy nie było dokoła. Mrożek, który przez trzy noce oka nie zamknął, z początku zajęty układaniem planów na przyszłość i zostający pod wpływem doznanych wrażeń, nie uczuwał potrzeby snu. Po niejakim czasie przecież, natura zaczęła upominać się o swoje prawa: jednostajny bieg bryczki ukołysał go cokolwiek, i oczy kleić mu się zaczęły. Nie był to przecież sen, lecz jakiś rodzaj drzemki, z której co chwila budziło go lada silniejsze wstrząśnięcie, tak pospolite podczas jazdy w górach, albo obawa żeby góral który go wiózł, nie chciał korzystać z jego snu aby go zabić i zrabować.

Nikt bardziej nie obawia się zbrodni, jak ten co ją ma na sumieniu.

Tak właśnie zadrzemany przejeżdżał Mrożek koło stanowiska obranego przez opryszka.

Antek wyskoczył z krzaków z nożem w ręku.

— Stój! —zawołał przyskakując do bryczki.

Marcin spostrzegłszy wychodzącego z lasu dobrze uzbrojonego z zasmoloną twarzą człowieka, jednym skokiem zeskoczył z bryczki i ukrył się w krzakach.

Jeżeli czego mógł się w tej chwili obawiać Mrożek, to najmniej pewno podobnej napaści. Zastała go ona zupełnie nieprzygotowanym. W drodze ułożył sobie, że odtąd cokolwiek mu w życiu przedsiębrać przyjdzie, będzie zadawał sobie pytanie: „jakby w takim razie postąpił Dawid?”, a gdy na to pytanie odpowie, to się znowu rozmyśli: „jakby postąpić lepiej od Dawida?” Ale tutaj nie było czasu szukać odpowiedzi nawet na pierwsze z tych dwóch pytań. Pozostawali tylko dwaj doradcy: instykt własny i przykład Marcina. Instynkt mówił zupełnie toż samo co przykład—nie zawahał się tedy Mrożek ani chwili i chciał się puścić w krzaki za Marcinem. Z siedzenia przecież niepodobna było zeskoczyć tak zwinnie i wygodnie jak z kozła, zdołał więc Antek uprzedzić jego zamiar i schwycił go za kołmierz.

— Gdybym nie myślał o ucieczce, nie byłbym zaskoczonym z tyłu—pomyślał Mrożek klnąc w duchu.

— Tysiąc reńskich, albo cię zarznę! — zawołał Antek.

O obronie myślić nie było można, a o wyrwaniu się z ręki napastnika jeszcze mniej. Mrożek oddałby wszystko, gdyby Antek zawołał: pieniądze lub życie!—ale kiedy kładł cenę i to cenę nie przechodzącą jego możności, a nawet stosunkowo małą, Mrożek zaczął odzyskiwać odwagę i pomyślał: że przynajmniej potargować się będzie można, a tymczasem może jaka pomoc niespodziewana się zjawi.

— Tysiąc reńskich — wyjąkał, —ja biedny człowiek.... zkąd jabym wziął....

— Z torby człowieka, któregoś zabił, tam... w górach — odparł Antek, nożem ukazując kierunek.

Tej odpowiedzi nie przewidywał wcale Mrożek. Kierunek wskazany przez opryszka, był najdokładniej prawdziwy. Gdyby go Antek nie trzymał za kołnierz, Mrożek byłby upadł na wznak. Świadek popełnionej przez niego zbrodni, stawał przed nim jakby z pod ziemi...

— Przez litość!.. puść... zapłacę... milcz...—jąkał przyznając się mimowolnie i przeczuwając instyktem, że zapieranie się czynu nic w jego położeniu pomódz mu nie mogło.

Antek nie bał się już ucieczki i puścił kołnierz Mrożka, nie wypuszczając jednak z ręki noża.

— Rachuj pieniędze — rzekł do niego.

Drżący i blady Mrożek, wydobył pugilares z kieszeni i zaczął odliczać papierki. Antek spostrzegł, że ich pozostawało znacznie więcej niż ten tysiąc, który mu się dostawał; przyszło mu przytem na myśl: że połowę z tego tysięca miał oddać karczmarzowi, przypomniał sobie że człowiek z którym miał do czynienia był prostym zbójcą, i że pieniądze z których go obdzierał pochodziły z grabieży, — przyszła mu na nie ślinka, nie czuł najmniejszej nad Mrożkiem litości i zawołał:

— Oddawaj resztę!...

Mając być ogołoconym do grosza, Mrożek padł na kolana przed opryszkiem.

— Człowieku!... serca... litości!... albo mnie zabij, albo mi nie odbieraj reszty!... Dzielę się z tobą czem mam... już mnie żyd obdarł z połowy... ulituj się... mam żonę... dzieci... papiery mam w porządku... jestem....

W obłąkaniu i przerażeniu, Mrożek sam nie wiedział co gadał i mało nie wymówił swego nowego nazwiska przed człowiekiem który wiedział o jego zbrodni. Wstrzymał się w porę i chciał dalej błagać litości, kiedy Antek mu przerwał:

— Jesteś Jan Świt... zbójca!... oddawaj resztę.

Słysząc swoje nowe nazwisko, Mrożek padł bezwładny na bryczkę.

Antek wziął pugilares i chciał z nim uciekać do lasu, nim jednak to uczynił wstrzymał się jeszcze. Spojrzał na leżącego nieruchomie Mrożka i jakaś litość go wzięła. Zawahał się.

— Cóż on zrobi jak mu zabiorę wszystko?... Pójdzie znowu w góry zabijać... najprzód siwka Marcinowi skradnie i sprzeda.... Szkoda Marcina... Nie trzeba mu brać nic.

Położył pugilares nietknięty i odszedł parę kroków, po chwili jednak zatrzymał się.

— Niech zbójca choć Dawida zapłaci — rzekł do siebie.

Powrócił do bryczki, wyjął z pugilaresu pięćset reńskich, znów go zostawił i znów odszedł.

I teraz jednak nie był jeszcze panem chętki przywłaszczenia sobie wszystkich pieniędzy.

— Tam będzie przecież jeszcze drugie tyle— myślał—co mam się litować nad zbójcą?... co mam mu zostawiać to co nie jego... Wezmę resztę, zostawię mu parę guldenów.... Jeżeli skradnie siwka, to Marcinowi zapłacę... a będę najbogatszym gazdą w okolicy.

Zwrócił się chcąc wykonać ten zamiar, ale tą razą już było niepodobna.... Zdaleka na skręcie drogi ukazała się inna bryczka.

Antek szybko ukrył się w lesie.

Woźnica Mrożka, który nie bał się wcale znajomego sobie dobrze opryszka i umknął więcej dla tego, żeby mu nie przeszkadzać, jak żeby się ukryć przed nim, z po za krzaków śledził cały przebieg tej sceny i jak tylko spostrzegł, że ktoś inny nadjeżdża a Antek się już oddalił, wrócił do bryczki.

Zastawszy Mrożka nieprzytomnego, pociągnął go za rękę:

— A co?... zabił was? — rzekł do niego.

Mrożek powoli roztworzył oczy. Pierwszym jego ruchem było przekonanie się czy pugilares przy nim został. Znalazłszy go otworzył, a gdy zobaczył że są jeszcze pieniądze, zdumiony nie wiedział czemu przypisać ich ocalenie i nagłe zniknięcie rozbójnika.

— Zrabował was? — dopytywał się Marcin.

dalej.... śpieszy mi się okropnie i tak dużo czasu straciliśmy.

Marcin zaciął konie. Pojechali.

Scena napaści w połowie tylko była zrozumiałą dla Mrożka. Że zbójca go napadł, było to rzeczą bardzo prostą; że mógł być świadkiem popełnionej przez niego zbrodni, dawało się jeszcze wytłumaczyć; ale że wiedział jego nazwisko, nazwisko które nosił od wczoraj dopiero i o którem powiedział tylko żandarmom i Dawidowi—to było zupełnie niepojętem.

— Ktoby mógł mu powiedzieć, że ja się nazywam Jan Świt?—mówił do siebie,—żandarmi?..... niepodobna.... pojechali w przeciwną stronę, a gdyby się dowiedzieli o tem co się tam stało w górach i mieli na mnie podejrzenie, toby mnie przytrzymali sami a nie gadaliby temu zbójowi, którego zapewne szukają.... Więc któż?.... Dawid?....

Podejrzenie jedynie ciężyć mogło na karczmarzu, jednakże przeciw temu podejrzeniu mówiły tak stanowcze okoliczności, że Mrożek musiał za-



Antek stał przed tym wodospadem.

— Gdzie tam—odpowiedział Mrożek,—to jakiś dobry zbójca.... patrzaj... wszystkie pieniądze mi zostawił.

— Ani guldena nie wziął?

— Ani guldena. Już ja mam sposoby na zbójców. Żaden mi nic nie zrobi.

Mrożek wiedział dobrze, że go ta napaść najmniej tysiąc reńskich kosztowała, nie myślał jednak przyznawać się do tego. Z przeminięciem niebezpieczeństwa, odzyskał przytomność i przebiegłość. Mówił o tajemniczym jakimś sposobie na zbójców, ażeby Marcinowi, który widział jego pieniądze, nie przyszła ochota go zrabować.

— Szczęście wasze, że ktoś nadjeżdżał—odpowiedział na to Marcin—opryszek musiał uciekać i dla tego wam nic nie wziął... O! bo to sławny zbójnik, to drugi Janosik karpacki. Musieliście słyszeć o Janosiku?....

Mrożek obejrzał się niespokojnie. W istocie w pewnéj odległości za nimi znajdowała się druga bryczka.

— Słuchaj Marcinie—rzekł szybko, — jedźmy

raz uznać je za zupełnie nieprawdopodobne.

— Gdyby Dawid powiedział temu zbójcy—myślał,—jak się nazywam, toby to mógł uczynić dopiero po rozejściu się ze mną, bo przedtem nic o mnie nie wiedział, a w takim razie czyż ten napastnik mógłby mnie dogonić piechotą, kiedy jadę bryczką i dobrym koniem? Zresztą zkądby wiedział, że pojechałem na lewo a nie na prawo?... Nie... to niepodobieństwo.

Tu Mrożek zadał sobie pytanie:

— Jeżeli ani Dawid, ani żandarmi, któż mu więc powiedział, że jestem Jan Świt?...

Próżno bił się z myślami, na to pytanie odpowiedzieć nie potrafił. Pragnąc je rozwiązać bądź co bądź, zaczął w siebie wmawiać to, w co sam nie wierzył.

— Przysłyszało mi się, albo mi się śniło i basta. Omdlałem z przerażenia, marzyło mi się, że on mi gada: „jesteś Jan Świt..... zbójca.” Inaczej być niemogło tylko tak... A jednak nie chce mi się w to wierzyć.... Przecież słyszałem najwyraźniej jego słowa i one dopiero tak mnie przeraziły, żem

utracił przytomność...... Mimo to, inaczej być nie mogło...... Albo to był duch Jana Świta, albo mnie się przysłyszało i przyśniło... Duch Jana Świta?... co za myśl!... gdyby przyszedł z tamtego świata, czyżby mnie nazywał swojem nazwiskiem?... Pfe! w przerażeniu przychodzą mi do głowy najniedorzeczniejsze przypuszczenia. Przysłyszało mi się i koniec... Słaby mam charakter... trzeba się mieć na baczności... na byle czem złapać się mogę.

Tymczasem Antek ze zdobytym skarbem, coraz głębiej w las się zapuszczał. Pilno mu było zastosować się w zupełności do instrukcji Dawida. Charakterystyka opryszka, którą się pysznił jeszcze tego rana, ciążyła mu. Kierował się ku najbliższemu strumieniowi o jakiem wiedział, po drodze już porzucił w krzakach nóż, pistolety i rozmaite dodatki, któremi upstrzył swój ubiór, aby wyglądać na legendowego zbójnika.

— Mam pieniądze — powtarzał sobie,—daleko więcej jak mówił Dawid... zostanę gazdą.... bogatym gazdą..... ożenię się. Dawidowi nie powiem żem wziął więcej... oddam mu tylko pięćset guldenów, zostanie mi cały tysiąc.

W pierwszej wodzie jaką napotkał obmył twarz, a następnie wyszedł z lasu znajomą sobie drożyną, nie na tę jednak którą jechał Mrożek lecz na inną, którą znacznie prędzej ale tylko piechotą w tę stronę iść było można.

— Już nie jestem opryszkiem—rzekł do siebie oddychając, jakby mu ciężar jaki spadł z piersi— nie boję się nikogo, do naszej wsi nie wrócę, poszukam sobie innego miejsca. Ten Jan Świt skarżyć mnie nie będzie choćby mnie poznał, więc co mnie szkodzi, że zrobię jak chciał Dawid, pójdę w tę stronę gdzie on pojedzie. Znam wszędzie drogi doskonale, nie zginie mi.

Przez resztę tego dnia i przez cały dzień następny, trwała jeszcze podróż Mrożka i Antka. Mimo to nie oddalili się oni bardziej od miejsca które opuścili, jak o jakie siedem lub ośm mil w prostej linji. Górskiemi drogami niepodobna jechać prędzej, a przytem Mrożek, pragnąc ślad swój zagubić dla Dawida, gdzie tylko mógł odmieniał konie, w niektórych miejscach nawet część drogi odbywał piechotą, ażeby jeszcze lepiej zatrzeć wszystko, coby mogło dopomódz Dawidowi do wytropienia miejsca jego pobytu.

Antkowi z wszelką łatwością przychodziło zbadać i przewidzieć naprzód kierunek, w jakim się Mrożek uda i mieć go ciągle na oku. Doskonała znajomość gór dopomagała mu w tem znakomicie. Pieszo, lecz skracając sobie drogę, nie potrzebując przy tem robić tak długich przestanków jak Mrożek, ani tak długiego jak on noclegu, mógł wszędzie łatwo go doścignąć. Przytem nie potrzebował go się bać i kryć się przed nim, więc gdy Mrożek szedł jaki kawałek drogi piechotą, on się puszczał za nim tą samą drogą w pewnej odległości.

Raz nawet spotkali się w jakieś górskiej karczemce. Mrożek spostrzegłszy Antka, znalazł w jego twarzy uderzające podobieństwo do zbójcy, który go napadał, więc zadrżał.... chciał uciekać... ale Antek nie zdradził się niczem i obojętnością swoją uspokoił go i opamiętał do tego stopnia, że Mrożek zapytał go o drogę, którą się miał udać.

Antek objaśnił go, cokolwiek zmieniając głos.

— Znów przywidzenie—rzekł do siebie Mrożek,— teraz znów w każdym góralu upatrywać będę mojego zbójcę..... Właśnieby zbójca mnie nie poznał i nie uciekał odemnie?... Trzeba się raz oduczyć i pozbyć na zawsze tych przywidzeń... Ręczę, że Dawid ich nic nie miewa.

Antek zaś mówił do siebie:

Nie poznał mnie, tym lepiej... Kiedy przestałem być opryszkiem, nie trzeba żeby mnie poznali ci co wiedzieli, żem chodził na zbój.

Na drugi dzień popołudniu, dostali się do części gór należącej już do Tatrzańskiej gruppy. Strony te zaczynały być nieznajome dla Antka. Ani wówczas kiedy juhasił, ani za swoich zbójeckich wypraw, nie zapuszczał się tak daleko.

— Widzę, że tu zostać będzie potrzeba—rzekł w myśli,—tu się już zaczynają góry, o których wiem tylko ze słyszenia, a o mnie pewno nawet ze słyszenia nie wiedzą. Tutaj zostanę... Jeżeli Świt pojedzie dalej, niech jedzie... na koniec świata gonić za nim nie będę. On zresztą pewno pojedzie ku dolinom, a ja tu w górach zostać muszę. Jeżeli Dawid straci jego ślad, nie moja wina. Ale Dawid ma głowę, to go choćby w piekle wynajdzie.

Okolice coraz stawały się cudniejsze, nowe widoki często zatrzymywały Antka, przystawał i wpatrywał się w nie zdumiony, pełną piersią wdychając górskie powietrze:

— Jaki tu śliczny kraj—wołał,—jak tu dobrze będzie być gazdą.

Krajobraz zmienił swój charakter. Wyniosłe szczyty, które w podróżach górskich służą za drogowskazy, dokładniejsze niż gwiazdy, owe wyniosłe szczyty wiecznym pokryte lodem, jak stożkowaty Krywań i rozdwojona u wierzchołka Łomnica— z rodzinnej wioski Antka widziane prawie w stronie zachodniej, teraz zaś przeniosły się bardzo ku południowi. Wierzchołki które widział od wschodu, poznikały już z widnokręgu. Czarne świerkowe lasy, malownicze na rozlicznych wyniosłościach położone jeziora, kaskadami wzajemnie oddające sobie wodę, ostrokręgowe szczyty—przesuwały się przed nim jak w kalejdoskopie.

Też same widoki przedstawiły się Mrożkowi i nie robiły żadnego wrażenia. Był to człowiek pozbawiony zupełnie tego oddzielnego, że tak powiem zmysłu, którym nas natura obdarzyła, abyśmy jej piękności podziwiać umieli. Gniewał się nawet w duchu na te wszystkie cuda, które tak hojną ręką przyroda rozsypała w górskich krainach, czuł się bowiem w obowiązku patrzeć na nie gdy mu je pokazywano, udawać zapał i zachwyt, być troszeczkę artystą jak nim był Jan Świt, którego zabrał nazwisko. Gdyby się spieszył, gdyby pomijał bez zastanowienia się to co mu wskazywano jako przedmiot wędrówek wszystkich górskich turystów, zdradziłby się, że niejako wędrowiec goniący za pięknościami przyrody odbywał swoją po górach pielgrzymkę—a tu właśnie szło bardzo oto, żeby go ludzie brali za turystę, co się roskoszuje naturą i dla tego tylko, a nie w żadnym innym celu podróż swoją odbywa. Oddaliwszy się więc dość znacznie od miejsca katastrofy, zaczął grać rolę wielkiego miłośnika piękności przyrody, choć jej obrazy przemawiały do jego duszy zupełnie niezrozumiałym językiem.

Zdarzyło się znowu, że dążąc w tym samym kie-

runku, Mrożek i Antek znaleźli się jednocześnie nad jednym z najpiękniejszych wodospadów karpackich. Woda srebrną wstęgą ciskała się ze skały, rozbijała o jej załomy, rozpryskiwała w drobne krople i znów zbierała w zapienione pasy, z szumem i łoskotem przebiegając z wyżyny do przepaści. Światło schylającego się ku zachodowi słońca, każdą jej kroplę innemi zdawało się malować barwami. Miejscami rozpryśnięte jej cząstki, wziąść było można za deszcz drogich kamieni.

Antek stał przed tym wodospadem, patrzył i napatrzyć się nie mógł. W zachwyceniu, nie mogąc oderwać oczu od szczegółów obrazu który miał przed sobą, nie spostrzegł nawet, że w pewnej odległości i inni przyglądali mu się widocznie.

Mrożek tymczasem udawał że patrzy na wodospad, ale się wkrótce nim nasycił i oko jego zwróciło się w stronę Antka.

Poznał go i mimowolnie dreszcz jakiś go przeszedł.

— Ciągle ten chłopak!—rzekł do siebie,—czemu on taki do tego co mnie napadł podobny?.... Eh! to chyba już nie ten sam... może też tutaj takie twarze i taki ubiór są tak dalece pospolite, że mnie oko ludzi i wszystkich biorę za jednego.....

(Dalszy ciąg nastąpi).

Sposoby wzajemnego sobie pomagania.

Połączonemi siłami więcej zdziałać można, aniżeli samemu. Kamień, którego jeden człowiek ani poruszyć nie może, kilku ludzi odwala z łatwością.

Tak samo się ma i z siłami pieniężnemi. Rotszyld jest wielki bogacz; a jednakże, jeżeli się zbierze do kupy ze swemi pieniędzmi wielu innych, choćby o wiele mniej majętnych ludzi, to będą oni w możności zdziałać temi pieniędzmi jeszcze więcej aniżeli sam Rotszyld. Dowodem tego są drogi żelazne: one to są najoczywistszem świadectwem, co dokonać można połączonemi siłami pieniężnemi. Sporzyjmy na świat: Ileto na nim tych kosztownych dróg! A choćbyśmy z nich wyłączyli te, które wystawiły rządy, acz i one zbudowane zostały także za pomocą złączonych sił wszystkich płacących podatki, co tu jeszcze jest innych dróg żelaznych, wybudowanych wyłącznie bezpośrednio połączonemi kapitałami prywatnych ludzi. Kto weźmie akcję czyli da pewną składkę na drogę, która się buduje lub ma się budować, ten swemi pieniędzmi przyczynia się do jej wystawienia. Takim sposobem zbudowano między wieloma innemi jak np. Krakowsko-Lwowską i drogę żelazną Petersbursko-Warszawską a kończy się budowa drogi Warszawsko-Terespolskiej. Takim też samym sposobem budować chcą zamierzone inne drogi jak: Mławską, Sandomierską i t. d. Podobnymże sposobem założone zostały lub zakładają się rozmaite fabryki, młyny parowe, browary i t. p. zakłady, najliczniej w Anglji, Francji, Belgji, w Ameryce Północnej i w innych krajach odznaczających się wyższym cywilizacyjnym postępem. Tam istotnie każdy zdumieć się musi nad tem wszystkiem, co można zrobić wspólnemi siłami, kierowanemi rozumem i wolą człowieka. A rozumu i woli jest tam pod dostatkiem.

Aha! otóż to te środki, rzeknie niejeden: gdzie one są, tam wszystko idzie jak po maśle. Gdzie wielu bogaczy zbierze się do gromady, tam nic dziwnego, że wiele zrobić mogą. „Pieniądz rodzi pieniądz”—mówi przysłowie. Ale ubodzy ludziska, co mogą mieć wspólnego z bogatymi? Na co im mogą się przydać takie stowarzyszenia? Z połączenia się biedy z biedą, będzie zawsze tylko bieda!

Prawda. Ale właśnie o to chodzi, aby zmniejszyć ową biedę, owe ubóstwo, prowadzące do nędzy i ciemnoty. Rzemieślnik i każdy utrzymujący się z jakiegoś wyrobku, oprócz pracowitości potrzebuje także i środków zarobkowania. Najpracowitszy i najzręczniejszy rzemieślnik nic nie wskóra, jeżeli nie będzie posiadał potrzebnych narzędzi i potrzebnego materjału. Podobnież nie wiele zdziała, jeżeli ma narzędzia stare, złe lub niedostateczne, a materjał zły i drogi. Weźmijmy np. ubogiego krawca, który wszystko co potrzebuje, kupuje na łokcie u przekupnika i porównajmy go z bogatym krawcem, który swoje potrzeby nabywa wprost z fabryki całemi postawami. Jaki będzie zarobek tego a jaki tamtego? Czyż ten, dostając towar z pierwszej ręki po cenie fabrycznej, nie może sprzedawać taniej swego wyrobu? Wszak prawda. A sprzedając taniej, musi mieć większy odbyt. Nadto mając środki w ręku, może usadowić się na jakiej głównej ulicy miasta wśród wielkiego ruchu mieszkańców, wywiesić wielki znak z odpowiednim napisem, może otworzyć okazały skład gotowego towaru, a nawet może używać rozmaitych obwieszczeń w gazetach, kalendarzach i innych podobnych, aby swe rzemiosło i wyroby podać do powszechnej wiadomości, i tym sposobem przysporzyć sobie odbytu i zwiększyć lub udoskonalić swój wyrób. Ubogi rzemieślnik tego zrobić nie może: musi on siedzieć gdzieś w zakątku na bocznej ulicy, gdzie tańsze mieszkanie i poprzestawać na obstalunku, jaki mu się zdarzy od czasu do czasu i to od uboższych ludzi. Jakiż z tego zarobek? Choć wszelkie potrzeby płaci drożej niż ten, który kupuje je z pierwszej ręki a nie od przekupników, nie może żądać większej zapłaty od tamtego—owszem, musi poprzestać na mniejszej, gdyż inaczej nie miałby i tej roboty. Cóż ma tedy robić, aby żyć i czy może dojść do polepszenia swego bytu? Może.

A jak?

Ot tak! On nie jest sam; on ma wielu sobie podobnych biedaków. Ubogich bowiem jest więcej aniżeli bogatych. Wiemy już, że połączonemi siłami wiele zrobić można. Są to wprawdzie tylko małe siły, ale małe do małego robi dużo; a dużo małych sił wyrówna wielkiej sile.

No — dobrze: dużo małych sił; ależ kiedy to jest sama nędza? Z wielu nędzy nigdy nie będzie bogactwa, tylko nędza.

Prawda, jeżeli tu będziemy mieli na myśli prawdziwą nędzę to jest taki stan, w którym człowiek nie może pracować z powodu starości albo słabowitego zdrowia lub zawadza mu lenistwo. Nie o tem atoli mówimy. Mamy tu na uwadze człowieka, który ma zdrowe ręce a głowę nie od pokazu, oraz chęć do pracy i który zna swoje rzemiosło. Kto posiada te przymioty, ten nie jest wcale ubogim, ten ma kapitał, z którego może ciągnąć zyski i dorobić się nawet majątku. A uskutecznić to może najłacniej przez zjednoczenie się z innymi.

A to jak?

Wróćmy się do naszych krawców. Nadchodzi wiosna. Ten i ów potrzebuje letniego ubrania; jakby to było dobrze, pomyśli sobie niejeden krawiec, gdybym się mógł zaopatrzyć teraz w odpowiedni materjał i to wprost z fabryki jak ten tam bogaty krawiec; lecz zkąd wziąć tyle pieniędzy? Musiałbym kupić całe postawy, a tych nawet spotrzebować żadną miarą nie byłbym w stanie. Ale gdyby się nas zebrało kilku, tobyśmy to jednak mogli zrobić podzieliwszy się wedle potrzeby. Ale zkąd pieniędzy? Trochęby się grosza zebrało, lecz nie tyle ile potrzeba, ba nawet ani połowy. Ale — czyżby nie można sobie poradzić z temi pieniędzmi? Przecież i u tego bogatego nie wszystko samo złoto co się świeci: ma i on długi, a fabrykantowi pewnie nie wszystko płaci gotówką. Czybyśmy i my nie mogli wziąć na kredyt, ale wspólnie; bo jednemu nikt nie zawierzy—wszyscyśmy ubodzy. Lecz gdybyśmy tak poszli razem i zaręczyli jeden za drugiego, to możebyśmy i dostali na

kredyt ową część towaru, na którą nam nie starczy pieniędzy. Nie ma wątpliwości — dadzą; bo gdyby jeden lub drugi nie chciał albo nie mógł płacić, miałby wierzyciel zawsze bezpieczeństwo swojej należności na innych. My znów dla swej pewności, abyśmy nie potrzebowali płacić za kogoś, przyjmowalibyśmy do współki tylko rzetelnych i pracowitych ludzi. Każdy niedbalec, marnotrawca, pijak lub szuler, byłby wyłączony od tego dobrodziejstwa. No — a gdybyśmy się tak stowarzyszyli, wzięty towar wyrobili i z zebranych pieniędzy dług zapłacili, to nie można wątpić, żebyśmy powtórnie na zimę tym snadniej otrzymali kredyt, i tak dalej na drugie lato. Tu zaś zapewne nie potrzebowalibyśmy już zaciągnąć tak wielkiego długu, ponieważeśmy przeszłego roku więcej zarobili, przynajmniej o tyle o ile nas towar mniej kosztował.

Jeżeliby więc ten krawiec tak lub podobnie rozumował, pytamy się: czy rozumowałby źle?

Ale niejeden pewnie na to pokiwa głową i rzeknie: Wszystko to dobrze, lecz ile głów tyle rozumów!

Myślicie tedy że nie byłoby zgody, że taka spółka nie doszłaby do skutku, albo zawiązana nie utrzymałaby się z powodu niezgody. Jest w tem nieco prawdy, ale tylko tyle, nic więcej. Są na świecie wprawdzie ludzie bardzo niezgodni, lecz są także i zgodni, rozumni, uczciwi—a tych drugich niewątlipiwie o wiele więcej. Do tego zjednoczenia nikt nie byłby przymuszany; przystępowałby doń tylko ten ktoby chciał i pojął jego użyteczność. Wystąpić z niego byłoby także wolno każdemu, po wyjściu oznaczonego czasu, na jaki się był zobowiązał. Początkowo także niewątpliwie byłoby mało uczestników takiego stowarzyszenia, bo zawsze do jakiegoś czasu jest wszędzie dużo niewiernych Tomaszów. Ale tak zwolna pokazałoby się, że rzecz ta jest dobra, że jest korzystną dla zjednoczonych, i tak pomału coraz łatwiej byłoby o nowych uczestników. Główna sprawa jednak zależy na dobrym wyborze ludzi, aby nie każdego natychmiast przyjmowac jak tylko zapragnie, oraz na dobrze ułożonym statucie organicznym, podług którego wszystkoby się rządziło.

Że spółki takie zaprowadzić i utrzymywać można i że ich uczestnikom przynoszą one wielką korzyć, o tem już dzisiaj nikt nie może powątpiewać, bo na to są liczne dowody. Najwięcej takich spółek rzemieślniczych jest we Francji. Najdawniejszą z nich jest krawiecka w Paryżu, założona w końcu 1849 r.

W owym to czasie znalazło się tam kilku ubogich ale pracowitych i przedsiębierczych majstrów krawieckich, a ci rozumowali podobnym sposobem jak to wyżej przytoczyliśmy i naradzali się o tem z innymi; ci znów z drugimi i tak się jakoś pomału zebrała ich pewna liczba. Zebrawszy się zaś razem, zgodzili się na jedno i uorganizowali się w spółkę. Każdy zobowiązał się wnieść naraz pewną składkę, ale że byli ubodzy, więc takową rozłożyli na pewną liczbę rat. Gdy jednak tak zebrana summa nie była dostateczną, postanowili szukać kredytu, który też chętnie był im udzielony, jako uorganizowanej i pod nadzorem Rządu a raczej władz Sądowych pozostającej Spółce handlowej. Początkowo Spółka ta posiadała tylko 37,000 franków [1]), licząc w to gotowiznę i kredyt. Nabyty za tę summę towar rozebrali stowarzyszeni wedle potrzeby każdego, częścią na rachunek wniesionej już składki, a częścią za gotówkę po cenie kupna. Wkrótce uznano za konieczne w tak wielkiem mieście, posiadać własny sklep z gotowemi wyrobami a zarazem miejsce, gdzieby na żądanie można było wziąć miarę i podług niej wygotować żądaną suknię, a następnie odesłać zamawiającemu do mieszkania lub zachować do zgłoszenia się tegoż. Najęto tedy sklep i urządzono takowy jak można było najokazalej; przyjęto uczciwego Sklepowego a następnie Rachmistrza i zarazem Podskarbiego, który pieniądze przyjmował i wypłacał. Obadwaj ci urzędnicy pozostawali pod dozorem i kontrolą komitetu Nadzorczego, wybranego przez Zgromadzenie Stowarzyszonych. Komitet odbywał posiedzenia co tydzień i zarządzał wszystkiem, w myśl postanowień Zgromadzenia Ogólnego, które zbierało się na walne posiedzenia cztery razy do roku.

[1]) 1 Frank równa się mniej więcej 25 kop. sr. czyli Złp. 1 gr. 20.

No, to wszystko bardzo pięknie; ale czy Spółka ta jeszcze istnieje? — zapyta się pewnie niejeden.

O tak! istnieje, i jeszcze jak dobrze, z jaką korzyścią dla swych członków! Zaraz pierwszego roku sprzedano w owym sklepie za przeszło 100,000 fr. a każdy uczestnik tej spółki za pośrednictwem tylko tego sklepu, zarobił przeciętnie 900 fr. oraz otrzymał z podziału czystego zysku 100 fr. Tej ostatniej kwoty atoli nikt nie wziął do ręki; na Zgromadzeniu bowiem Ogólnem, takowa przeznaczoną została na powiększenie kapitału zakładowego, posiadanego już przez każdego spólnika.

Z końcem roku Spółka ta krawiecka obracała już kapitałem 66,482 fr., w którym tylko 21,000 fr. było długu.

Za tym przykładem w krótkim nader czasie utworzyło się w Paryżu wiele innych podobnych Stowarzyszeń. Najprzód urządzili się w taki sposób ubodzy szewcy, potem kapelusznicy, rymarze, stolarze, fabrykanci fortepianów i t. d. Powodzi się zaś doskonale wszystkim tym, którzy się uorganizowali w spółkę z rozwagą i nadali sobie statut rozumny, a nie leniąc się, gorliwie czuwają nad biegiem i rozwojem swego przedsiębierstwa i nie spuszczają się wyłącznie na swych pełnomocników.

Nie dosyć jednak na tem. Wiele z tych pojedyńczych Spółek, weszło z sobą we wzajemny związek. Wkrótce bowiem potem krawcy rzekli byli sobie: Wszystko dobrze, ale i my potrzebujemy różnych rzeczy jak obuwie, kapelusze, meble i t. d. — poco więc mamy to wszystko kupować u bogatych szewców, kapeluszników lub stolarzy? Pójdźmy do odpowiednich Stowarzyszeń i powiedzmy im: Kupujcie wy od nas a my będziemy od was co nam potrzeba. Tym sposobem powiększemy odbyt i wyrób sobie i wam. Zgodzono się, a tak jeżeli członek Spółki krawieckiej potrzebuje buty lub kapelusz, idzie do Rachmistrza swego stowarzyszenia, ten mu daje assygnacyję na żądany przedmiot, Prezes zaś komitetu podpisuje takową. Na mocy takiego zapotrzebowania, żądany przedmiot w odpowiednim składzie zostaje wydany potrzebującemu bez pieniędzy; zapisano tam tlko w właściwej księdze cenę wziętej rzeczy na nazwisko osoby, na rachunek Stowarzyszenia do którego należy. Po ukończeniu roku, wszystkie Stowarzyszenia robią wzajemny obrachunek. Wybrana summa umarza się przez wybraną, a kto nadebrał dopłaca gotówką.

Cóż na to powiedzieć? Nic — tylko że to jest piękne urządzenie. Tak — jest to mianowicie w większych miastach, jedyny sposób prawy i uczciwy, dający ubogim a pracowitym rzemieślnikom możność dorobienia się lepszego bytu. Tak jest — takie stowarzyszenia są jedyną tarczą, którą ubodzy rzemieślnicy mogą się obronić od przewagi bogatych swych współzawodników i wielkich fabryk—albowiem praca tylko i wzajemna pomoc, chronią od nędzy a nawet zbogacają.

Ad. N. Nakęski.

DRZEWO MLECZNE.

W Brezylii, w okolicach rz. Rio, znajduje się zadziwiające drzewo, zwane przez krajowców mlecznem [1]). Rośnie ono po większej części na miejscach kamienistych,

[1]) Zowią je także „krowiem."

zapuszczając swoje korzenie w rozpadliny skał, po nad którémi rozwija swe suche liście, podobne do skóry.

Jeżeli w przeciągu kilku miesięcy deszcz nie odświeży jego liści, wtedy i wszystkie gałęzie stają się jakby umarłemi, lecz mimo to, przeciąwszy i w takim razie łodygę, zaraz wytryska z niej słodkie i pożywne mleko, zkąd też i nazwę „mlecznego", nadano temu drzewu.

Przy wschodzie słońca, zwłaszcza, rosnące to *źródło, ciecze nierównie* obficiej, niż o którejkolwiek innej porze, z czego korzystając okoliczni mieszkańcy spieszą wtedy ku niemu z dużemi dzbankami, pragnąc czemprędzej napełnić je świeżem mlekiem; które bardzo prędko żółknie i gęstnie na powierzchni.

Mieszkańcy tamtejsi, po kolorze i gęstości liści z taką łatwością poznają te drzewa, w których więcej jest mleka, że prawie nigdy w swych oczekiwaniach się nie zawodzą.

Wreszcie drzewo to, należy do największych w lasach Brezylijskich, i dosyć często używają go nawet przy budowie okrętów. *K. M.*



Drzewo mleczne.

ROZMAITOŚCI.

— **Postęp wyobrażeń.** W jednym z miejscowych dzienników w korespondencji prowincjoalnej, znaleźliśmy kilka budujących faktów, któremi pragniemy podzielić się z czytelnikami Opiekuna Domowego. Oto pewien artysta malarz, nie mając żadnego prawie odbytu ze swoich prac artystycznych, zamiast opuścić ręce i oddać się rozpaczy lub stać się ciężarem społeczeństwa, założył wraz z godną towarzyszką swego życia—piekarnię! Inny ukończywszy kompletny kurs nauk gimnazjalnych, nie wahał się wstąpić na naukę do szewca i dziś otworzył na swą rękę warsztat szewcki w mieście Suwałkach. Ze smutkiem tu jednak wyznać musimy, że miejscowi majstrowie, zamiast brać przykład z takiego kolegi, który całemu ich rzemiosłu zaszczyt przynosi, krzywem nań okiem patrząc i wszelkich sposobów używają, aby mu dokuczyć! U tegoż samego majstra przez całe wakacje, uczył się z własnej chęci szewiectwa pewien uczeń gimnazjum miejscowego, syn urzędnika. Brat tegoż ostatniego zostaje w terminie u introligatora, a najmłodszy z trzech braci dzieciak jeszcze, z niecierpliwością oczekuje czasu, w którym będzie mógł uczyć się szewiectwa damskiego. Oby powyższe przykłady jak największe naśladownictwo obudziły! Przez takie bowiem wszczepienie żywiołu wykształconego w ludność rzemieślniczą, o ile z jednej strony rzemiosła się podniosą, o tyle z drugiej większa moralność pomiędzy rzemieślnikami zakwitnąć musi. Zresztą, zyskają nawet i ciż sami ludzie wykształceni, którzy z biedy lub z przekonania rzemiosł się uchwycili: dobry bowiem rzemieślnik zawsze i wszędzie znajdzie kawał chleba, gdy tymczasem w zaszczytniejszych *zawodach*, najczęściej w samej rzeczy tylko *zawody* spotykamy.

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.

— **Pani Marji z Częstochowy.** Za pochlebne wyrazy pani tak o Opiekunie, jak i o artykule „Mąż", najuprzemniej dziękujemy. Zdanie pani, że przyczyny błędów naszych nie należy szukać gdzieindziej jak tylko w nas samych, w zupełności podzielamy; to wszakże pewna, że w wielu bardzo razach, nadewszystko w umysłach słabych, te błędy i wady nigdyby może nie wydobyły się na jaw, gdyby nie zewnętrzne wpływy. Co się zaś wzmiankowanych przez Panią wyrazów dotyczy, wypisała je, jak powiada Pismo święte, ręka niewiadomo czyja, na ścianie, podczas uczty ostatniego króla Babilonu, Baltazara. Gdy czaronoksiężnicy chaldejscy nie mogli ich wytłumaczyć, wezwany Daniel prorok przeczytał je w ten sposób: *Mane Thecel, Phares* t. j. „przeliczył Bóg królestwo twoje i dokonał go; zważonyś na wadze i znalezionyś mniej ważącym; rozdzielone jest królestwo twoje i dano je Medom i Persom."

— W ciągu upłynionego kwartału III r. b. wskutek zgłoszenia się niżej wyszczególnionych Prenumeratów, wysłane im zostały powtórnie brakujące Numera *Opiekuna domowego*, tak z lat dawniejszych, jako też i z r. b.

Gnoiński Ksaw. Stacja **Słonim** r. 1866 Nr. 52. 53.
Wojde M. Stacja **Białystok** r. 1865 Nr. 22. r. 1866 Nr. 6.
Krzemieński Fil. Stacja **Potworowo** r. 1866 Nr. 16. 30.
Weitmann A. — **Włocławek** r. 1866 Nr. 49. 50.

Z roku 1867.

Strzyżowski J. stacja **Władysławów** Nr. 8 do włącznie 13, oraz 33.
Pietkiewicz An — **Kamieniec podolski** N. 25. 26.
Łukasiewicz — **Kielce** Nr. 19.
Bojanowski — **Lututów** Nr. 24. 25.
Jakowicz — **Wornie** Nr. 14. 15. 24. 27. 28.
Ramsztejn — **Olgopol** Nr. 11. 12. 20. 22.
Weisenhof A. — **Nowoaleksandrowsk** Nr. 16. 17. 26.
Ks. Kamiński Adr. — **Berdyczew** Nr. 20.
Borowska — **Siewierz** Nr. 23.
Makarewicz Alb. — **Husiatyn** Nr. 27. 28.
Ks. Kwiatkowski — **Włodowice** Nr. 7. 8. 12.
Zdanowski — **Janów Zamojski** Nr. 16.
Ks. Senenko — **Krzywe Jezioro** Nr. 16. 26.
Kolbuszewski Jan — **Wierchów** Nr. 29.
Jasieniecki Hip. — **Nowomirgorod** N. 1. 2. 8. 9. 14. 15. 16. 17.

Koniec kwartału III-go 1867 r.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.